

Ojciec Wenanty Katarzyniec
franciszkanin
na tle wspomnień współbraci.
W S T Ę P.

Gdy z wyżyny XX-go wieku rzucimy okiem na leżące u jego stóp wieki poprzednie, spostrzeżemy, że każdy z nich ozdabiał mniejsze lub większe grupy naśladowców mistrza z Nazaretu. Kościół nazywa ich Świętymi.

Święty – myślą ludzie postępowi – to człowiek do tego stanu przez Boga już z góry przeznaczony, to człowiek tak nastrojony do lotu świętości, jak aparaty lotnicze: mają dwie względnie jedną parę skrzydeł, motor, śmigieł, które jeśli się puści w ruch nie mogą powiedzieć: „nie pojedę bo nie mam najmniejszej ochoty”.

Otóż nie. Rzecz się ma zgoła przeciwnie.

Święci byli tak jak i my ludźmi obdarzonymi przez Boga wolną wolą; mogli więc czynić, co im się podobało: mogli iść za natchnieniem łaski lub nie, mogli spełnić akt cnoty, ale mogli także zgrzeszyć. Wyraźnie mówi o tem Pismo św. „Błogosławiony mąż, który znaleziony jest bez zmazy... któż to jest taki? a będziemy go chwalić; uczynił bowiem wielkie rzeczy w życiu swoim... który mógł zgrzeszyć, a nie zgrzeszył, źle uczynić, a nie uczynić”¹.

Jest jednak coś takiego, czem Święci przewyższyli ludzi zwyczajnych – to moc chrześcijańskiego charakteru.

Kiedy bowiem inni za najłżejszym podmuchem namiętności skłaniają swą wolę do złego – Święci w tym wypadku walczą mężnie z wrogiem duszy i potrafią najgwałtowniejsze wichry namiętności opanować, niemi zawładnąć. Oni są panami siebie, gdy przeciwnie człowiek hołdujący swym żądom jest niewolnikiem.

Chrystus powiedział: „Jeśli kto chce iść za mną, niech zaprze samego siebie, weźmie krzyż swój a naśladuje mnie”². Święci zrozumieli te słowa. Lecz chociaż wszyscy kierowali wytyczną swego życia w myśl tych wskazań Zbawiciela, przecież w różny sposób wcielają tę zasadę w życiu. Jedni szli na odludne pustynie, zamykali się w odludnych pieczarach, tonęli „w mistycznych” zachwyceniach trapiłi swe ciało pracą, postem i czuwaniem; inni pod ciężkim katowskiego miecza oddawali swe życie dla Chrystusa w jednym heroicznym akcie, inni znowu unikając rozgłośnych czynów szli drogą pokory, zapomnienia, znosili z weselem krzyże, jakie im Opatrzność zesłała, starali się wykorzystać najmniejszą sposobność do ofiary i cierpienia dla Jezusa. Szli „drogą maleńką, drogą ufności i zdania się na wolę Bożą, rzucając pod stopy Pana Jezusa kwiateczki małych ofiar, ujmując Go pieśczętami miłości”.

Rosło w nich bohaterstwo niewidome, poświęcenie – tajemne. Uważano ich za najzwyczajniejszych ludzi, bo nic napozór bohaterskiego nie czynili, nic ponad miarę zwyczajnemu człowiekowi dostępną. Lecz wierne i nadprzyrodzoną pobudką uświęcone spełnianie szarych, codziennych obowiązków, wynosiło ich w oczach Bożych ponad tłum przeciętnych ludzi. Zazwyczaj umieli doskonale swe życie wewnętrzne i cnoty osłaniać przed powierzchownym okiem pokorą i stosowaniem się ściśle do norm ogólnego życia i tylko od czasu do czasu serce wezbrane miłością okazywało swe skarby.

Tą drogą postępował w swem życiu śp. Ojciec Wenanty, nieznanym szerszemu ogółowi, pokorny syn Serafickiego Patrjarchy. Pamięć jego cnót i świątobliwości żyje w umysłach współbraci zakonnych. Lecz postać kapłana nieskazitelnego charakteru nie może być duchową

¹ Ekkł. 31 – 8 – 10.

² Mar. 8, 34.

własnością najbliższych; ona powinna stanąć w blasku cnoty przed oczyma każdego, by przykładem swego życia uszlachetniać serce, hartować wolę i niecić ogień miłości Boga i bliźniego.

I

Ojciec Wenanty Katarzyniec urodził się 7 października 1889 r. w Obydowie, wiosce w Małopolsce wschodniej. Ochrzczony 12 października otrzymał imię Józef. Rodzice Jan i Agnieszka z Kozdrawickich, choć ubodzy lecz zacni wieśniacy, sami niewykształceni i prości nie mogli umiejętnie i celowo wpłynąć na wychowanie syna na konsekwentne kształtowanie charakteru zaraz od pierwszych chwil dzieciństwa; zaszczepili jednak w niewinnym sercu chłopięcia poszanowanie dla bożych przykazań, nauczyli pacierza, a gdy podrósł, zaprowadzili do kościoła i do szkoły. Pod wpływem szkolnej nauki religii i pod owocnym działaniem łaski bożej, w miarę rozwoju intelektualnego widnokągu poznawał gruntownie prawdy wiary i obejmował je szczerem uczuciem miłości.

Szkołę ludową ukończył w Kamionce Strumiłowej, odległej od rodzinnej wioski o 4 klm. Uciążliwą niekiedy i męczącą drogę uprzyjemniała gwarna rozmowa wesołych chłopców, lub mimowolny, pogodny wpływ pięknej przyrody. Uczył się pilnie, z zapałem. Z natury nieśmiały, cichy unikał hałaśliwych zabaw, codziennych sprzeczek i zwyczajnych wśród szkolnej dziatwy kwadransowych nieporozumień, nikomu przykrości nie wyrządził, wrodzona nieśmiałość na to nie pozwalała. Pilnością w nauce i wytrwałością w pracy wkrótce zwrócił na się uwagę i zyskał uznanie nauczycieli, rodzicom zaś sprawiał zadowolenie i pewna poczucie dumy z tak zdolnego syna.

Pozatem nie posiadamy wiadomości bardziej szczegółowych o życiu chłopca. Pamięć o wielu drobnych, powszednich wydarzeniach zaginęła i to prawdopodobnie bezpowrotnie, nie zwracano na nie szczególniejszej uwagi, a dzisiaj już nikt o nich nie pamięta. Pozostało po nich ogólne wrażenie, jakgdyby synteza ujęta w prostym zdaniu: „Od dzieciństwa był to chłopiec bez skazy”. Podobnie tylko ogólnikową wiadomość posiadamy o jego rodzinie, „Ojciec, matka i siostra nadzwyczaj bogobojni ludzie, cisi, pracowici.”

Na tle szarych dni w ciszy spokojnej wioski upływała szybko jego młodość. Jedna tylko chwila poniosłego nastroju uczyniła wyłom w jednostajnym następstwie wypadków życia. Chwilą tą to pierwsza Komunia święta. Narazie nie wiemy, w którym dniu, miesiącu i roku przeżył tę najuroczystszą z chwil, która w czystej wyobraźni dziecka żłobi głębokie, niezatarte ślady, a w niewinnym sercu rozpała ognie najszczytniejszej miłości, ale to pewne, że zaznał tego szczęścia. Prawdopodobnie pewnego świątecznego poranku cała wieś odświętnie ubrana szła do kościoła z pogodniejszym obliczem. Dzieci niosły białe świece, ozdobione zielonym mirtem. Młody Józef był także w tej gromadzie.

Trzykrotny dźwięk dzwonka oznajmił zgromadzonym w kościele początek oczekiwanej mszy. Kapłan wstępuje na stopnie ołtarza... Odprawia ofiarę bezkrwawą... Serca dzieci biją gwałtownie... Chwila pełna nastroju... Usta milczą, lecz serce modli się Panu. Wreszcie kapłan odwraca się do ludu: „Ecce Agnus Dei” Oto Baranek Boży... Panie nie jestem godzien, odpowiada szept ust dziecięcych. I wkrótce niewinna, anielska dusza dziecka łączy się z Miłośnikiem maluczkich. Dziecię w niemym podziwieniu, oszołomione szczęściem wewnętrznym, może nie odczuwa narazie doniosłości tego aktu, czuje jednak w sercu dziwną błogość, nieopisane zadowolenie. Lecz później, gdy świadomość się rozwinie gdy wyobraźnia z całą żywością odnowi obraz tych chwil, wówczas dopiero poznaje całkowicie, jakie wesele zgotował mu Pan u wejścia na drogę życia. Podobne a może jeszcze żywsze uczucia napełniały nieskazitelne serce Józefa.

Również czemś niezwykłym i oznaką pewnej wyższości w mniemaniu każdego chłopca jest służenie do mszy św.; o tem marzy i pragnie jak najprędzej nauczyć się ministrantury. Pragnienie to nosił w sercu także mały Józek. Postarał się więc o książeczkę z ministranturą, wyuczył się napamięć łacińskich odpowiedzi, może poprosił którego ze starszych kolegów, by mu pokazał obrzędy przy mszy św., a może katecheta uczył w szkole; dość że gdy dostatecznie umiał ministranturę i znał obrzędy, przyszedł do kościoła z zamiarem służenia do mszy św. Ale stali ministranci nie chcieli się zrzec dobrowolnie swego wyłącznego przywileju, on zaś nieśmiały nie mógł go przemocą wywalczyć. Zasmucony więc zawodem jaki go spotkał zaraz na wstępie, stanął na boku. Gdy proboszcz przyszedł do zakrystji, poznał z nadąsanych wyrazów twarzy, że między chłopcami zaszło jakieś nieporozumienie. Zbadawszy przyczynę upomniał nieustępliwych chłopców, a jemu kazał służyć. Opowiada matka, że później z wielką radością wspominał o tem. „Ja już służyłem do mszy św., mówił każdemu z niekłamanem weselem. Odtąd służenie należało do stałych obowiązków i weszło jako jeden z naczelných punktów do dziennego regulaminu życia. Codziennie, w lecie i w zimie, zarówno w piękne, majowe świty, jak w mroźne, pochmurne poranki jesieni spieszył żwawo do Kamionki, by przed rozpoczęciem lekcji służyć do mszy św.; rano wstawał wcześniej, by spełnić umiłowaną powinność. C. d. n.

W. Z., *Ojciec Wenanty Katarzyniec franciszkanin na tle wspomnień współbraci – cz. 1*, Pochodnia Seraficka, 6(1928)181-185.